

CZAS DAROWANY NAM



# BARBARA RYBAŁTOWSKA

CZAS DAROWANY NAM

SAGA  
„BEZ POŻEGNANIA”  
TOM V



**AXIS MUNDI**

PROJEKT OKŁADKI: Natalia Harańczyk  
SKŁAD: Positive Studio  
ZDJĘCIE AUTORKI: Marta Szelichowska  
REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska  
REDAKCJA I KOREKTA: Elżbieta Makowska  
KOREKTA: Iwona Hardej  
KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

**WYDANIE III**

ISBN: 978-83-8394-893-5  
EAN: 9788383948935  
ISBN E-BOOK: 978-83-8394-894-2

Copyright © by Barbara Rybałtowska  
Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



*Wujowi*



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Siedziały obie w obszernej kuchni Zofii i przebierały grzyby. Dorodne borowiki po oczyszczeniu układały na tacy. W koszu były też podgrzybki i maślaki, ale one na razie zajmowały się tylko prawdziwkami.

– Osiemdziesiąt cztery, osiemdziesiąt pięć – liczyła Kasia.

– Nie do wiary! – wykrzyknęły jednocześnie. Spojrzały na siebie zaskoczone i roześmiały się.

– Co masz na myśli? – spytała matka.

– To, że zdołałaś to wszystko zebrać sama, mamuś. Taka ilość! To nieprawdopodobne.

– No widzisz, niebywały wysyp. Ale mój okrzyk dotyczył czego innego. Wyobraź sobie, że dokładnie taką samą liczbę borowików zebrałyśmy przed laty w Iszkoldzi z twoją stryjenką, nieboszczką Anulą, i jej synek Kazio liczył je tak samo jak ty teraz. Kiedy wymawiałaś słowa: „osiemdziesiąt cztery, osiemdziesiąt pięć...”, miałam złudzenie, że słyszę jego głos. Aż dreszcz mnie przeszedł! Niesamowite uczucie... Po tylu latach nagle doznałam *déjà vu*.

– Po ilu latach?

– Dwudziestu?... Poczekaj... mamy teraz sześćdziesiąty drugi, a wtedy był tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty. Kilka dni przed wybuchem wojny. Zatem dwadzieścia trzy lata

temu! A przed chwilą ujrzałam ich wszystkich tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Mój Boże! Oni od tak dawna nie żyją...

– Tak jak mój Piotr...

– Tak jak i mój Piotr, twój ojciec...

– Czy to nie dziwne, mamusiu, że obie owdowiałyśmy tak młodo?

– Niestety. Wiesz, kiedy przedstawiłaś mi swego Piotra, na dźwięk jego imienia poczułam ukłucie niepokoju. Zaraz się za to skarciłam, ale nie mogłam się pozbyć myśli, że to niedobrze wróży...

– Ach, ta twoja intuicja! Chyba mam ją po tobie, bo gnębiły mnie przecież te sny o naszym rozstaniu, mimo to nawet do głowy mi nie przyszło, że on mógłby umrzeć...

Zofia z miłością spoglądała na córkę. Nareszcie ma ją przy sobie. Nie na długo wprawdzie, zaledwie na dwa tygodnie, ale jest! Przyjechała tu spędzić urlop. Od tragicznej śmierci jej męża upłynęły prawie dwa lata. Kasia nadal jest wierna jego pamięci, chociaż jako tako stanęła już na nogi. Jakie to szczęście, że jest w „Mazowszu”. Gdyby nie mnogość wrażeń i pracy, jakie są udziałem tego zespołu, pewnie znosiłaby to nieszczęście o wiele gorzej.

– Jak widzisz, mamusiu – odezwała się, jakby odczytując jej myśli – trochę się pozbierałam. Nie znaczy to, że przebolełam utratę Piotra, to chyba nigdy nie nastąpi. Nie, ale jakoś egzystuję. W naszym światku nie ma czasu na rozpamiętywanie. Tyle się dzieje, wciąż trzeba się starać, udzielają mi się ogólne nastroje. Sama się sobie dziwię, że potrafię nieraz się śmiać, wygłupiać. Zapamiętałam takie twoje zdanie wypowiedziane zaraz po tragedii: „Życie jest zawsze silniejsze od śmierci...”. Miałas rację. Kiedy to sobie uświadamiam, dręczą mnie wyrzuty sumienia, że jego nie ma, a ja...



– Co: ty? To, że żyjesz czy też starasz się żyć normalnie, nie jest wymierzone przeciwko niemu. On na pewno by nie chciał, żebyś wiecznie rozpaczała.

– Wiem, ale nie potrafię sobie wyobrazić, że rozpacz kiedykolwiek mnie opuści, mimo że potrafię się śmiać. Ostatnio, w czasie naszego rejsu po portach Skandynawii, przeżywałam ciężkie chwile. Zwłaszcza surowa uroda fiordów norweskich nastrojała mnie posępnie. Wiesz, płynąc tak, mieliśmy na statku dużo wolnego czasu, a wolny czas to mój wróg. Radzę sobie tylko wtedy, gdy mam nadmiar pracy.

– To normalne, moje dziecko. Praca to najlepsze lekarstwo, na wszystko. *À propos* – musimy się teraz pośpieszyć, bo tylko patrzeć, jak moja trzódka wróci do domu i zacznie się domagać obiadu, a my jesteśmy w lesie.

– Jakoś damy radę, pomogę ci.

Mówiąc to, Kasia uświadomiła sobie, że matka nic nie straciła ze swojej energii. Pod pretekstem szybszego spotkania z córką pojechała rano do Zawady. Sądząc po zbiorach, jakich dokonała, musiała wydeptać niemało ścieżek w lesie, a cały czas się krząta, jakby dopiero co wstała. Ile jeszcze lat zdoła prowadzić taki tryb życia? Ciągłe w ruchu, wciąż zapracowana. Czy ona kiedykolwiek odpoczywa? Zawsze jest czymś zajęta. I nic nie robi po łebkach. Wszystko dokładnie i z oddaniem. Nie znam nikogo takiego jak ona, bo też chyba nie ma nikogo takiego na całym świecie. Moja kochana, niezwykła mama! Nigdy jej nie dorównam. Ja ani nikt inny.

– Mamuś, czy ja powinnam zgłosić się do urzędu meldunkowego, żebyście nie mieli przykrości?

– Co ci przyszło do głowy?

– Nie czytasz gazet? Przecież ustanowili obowiązek meldowania się, kiedy nie przebywa się w miejscu zameldowania.

– Co ty powiesz? Jakoś to przeoczyłam. Dosyć mam zamieszania z dziećmi, żeby jeszcze czytać głupie zarządzenia. Zresztą to chyba nie dotyczy wszystkich, może jakichś przestępców.

– Niestety, stoi w tym zarządzeniu jak byk: „Każdy obywatel PRL ma obowiązek...” itd.

– A dajże ty sobie z tym spokój! Przyjechałaś na kilka dni do najbliższej rodziny, nie będziesz dreptać po urzędach! Zabraniam ci!

– Żebyście tylko nie mieli przykrości.

– Niedługo trzeba będzie rejestrować myśli. Chcą nas zniewolić do końca. Im więcej będzie nakazów i zakazów, tym bardziej będą łamane. Wspomnisz moje słowa.

Rozmawiając tak, obrały wszystkie grzyby, krzątały się po kuchni i kiedy wygłodniała gromadka wróciła ze szkoły, wszystko było przygotowane do obiadu. Do stołu zasiedli jednak z dużym opóźnieniem. Dzieci nie mogły nacieszyć się starszą siostrą i prezentami, które im przywiozła ze skandynawskiego tournée. Ania, smukła czternastolatka o prześlicznych orzechowych oczach, wzięła Kasię na stronę i opowiedziała jej o swoich kłopotach w szkole. Skłóciła się na dobre z wychowawczynią i żywiła obawy, że ta nie przepuści jej do następnej klasy. Twierdziła, że jeśli tak się stanie, to ona tego nie przeżyje. Umrze ze wstydu.

– Co też ty opowiadasz, Aniu? Masz przed sobą jeszcze osiem miesięcy roku szkolnego. Przeprosisz panią Matałowską, zaczniesz się uczyć i wszystko będzie dobrze.

– Nie będzie. Ja jej nie przeproszę. Ona mnie nienawidzi. Mówi, że jestem arogancka, a sama jest niemożliwa. Nie powinna uczyć w szkole.

– Nie wolno ci osądzać dorosłych. Gdybyś była karna, ona traktowałaby cię inaczej.

– Na pewno nie! Ty jej nie znasz. Obiecay mi, że jeśli nie zdam, zabierzesz mnie do siebie do Warszawy. Inaczej umrę tu ze wstydu.

– Nie kracz, Aniu. Zdasz, zobaczysz.

Ania jednak „krakała”. Konflikt z wychowawczynią narastał, a ona zamiast się mobilizować, buntowała się przeciw niechęci okazywanej jej przez większość nauczycieli i nie tylko nie nabrała pokory, ale zupełnie opuściła się w nauce. Ukończenie klasy siódmej nie rysowało się jej różowo. Uparła się, że przyłoży się do nauki, żeby ukończyć klasę, tylko pod warunkiem, że Kasia zabierze ją do Warszawy. Rozpętała się wielka awantura. Teofil nie chciał o jej wyjeździe słyszeć. Zofia też miała wiele obaw, przecież córka często podróżowała z „Mazowszem”. Pozostawianie bez opieki zbuntowanej czternastolatki nie wróżyło nic dobrego.

Sama Kasia rozumiała obawy rodziców, ale wbrew rozsądkowi kusilo ją, aby mieć siostrę przy sobie. Nie czułaby się taka samotna. Jej mieszkanko, z taką starannością urządzone przez Piotra, ciągle było nieoswojone. Przez dwa lata nie zdążyła się w nim poczuć dobrze. Jak tylko Ania wyraziła chęć zatrzymania się u niej, od razu zaczęła przywiązywać się do tego pomysłu. Właściwie czemu nie? – rozmyślała – na pewno będzie mi różniej z siostrzyczką niż samej. Będę miała z kim wyskoczyć do kina, teatru, czy na spacer. Pomogę jej w nauce, postaram się, żeby rozwijała swoje zainteresowania, zapiszę ją na jakieś zajęcia.

Ani się spostrzegła, jak zaczęła kreślić szeroko zakrojone plany pobytu siostrzyczki w Warszawie, zanim jeszcze zapadła decyzja o kontynuowaniu tutaj jej edukacji. Już nawet miała obiecane dla niej miejsce w gimnazjum, niedaleko domu, na Saskiej Kępie, gdzie dyrektorką była matka jednej z koleżanek z „Mazowsza”.

Od tej pory dwie najstarsze siostry zaczęły ze sobą spiskować. Obie były mocno pobudzone zmianą, która miała zajść w ich życiu. Trzeba było jeszcze przekonać do tego rodziców, a to, jak się spodziewały, nie będzie łatwe. I pewnie nadal snułyby te plany, gdyby podczas tournée „Mazowska” po Niemczech i Holandii Kasia nie złamała ręki.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Stało się to w Weimarze podczas ćwiczeń tanecznych przed koncertem. Choreograf ogłosił właśnie koniec rozgrzewki i pozwolił im opuścić pomieszczenie, w którym teraz mieli „rozgrzewać się” instrumentalści. W ten sposób Kasia zderzyła się w drzwiach z niedawno zaangażowanym do orkiestry „Mazowska” skrzypkiem. Był to pierwszy jego wyjazd z zespołem i jak każdy „nowy” budził spore zainteresowanie, szczególnie damskiej części zespołowej społeczności. Znany z występów w radiu muzyk był w dodatku bardzo przystojny. Miał mnóstwo blond loków i rozmarzone niebieskie oczy. Nosił romantyczne koszule i wdzianka z rozchylonym kołnierzem *à la* Słowacki i zawsze miał przy sobie jakąś książkę z małą atrapą smyczka do skrzypiec używaną jako zakładka. Słowem, nawet dla niej – od czasu tragicznej śmierci Piotra obojętnej na męskie uroki – był intrygujący. Zwłaszcza że posyłał jej wiele mówiące spojrzenia i nie szczędził komplementów. Nawet w czasie koncertów, kiedy tylko mógł oderwać wzrok od nut lub batuty dyrygenta, zerkał na nią.

A ona, chociaż nie dopuszczała myśli, że to ją obchodzi, pod jego spojrzeniem starała się najpiękniej, jak potrafiła, wykonać taneczne pas lub wyśpiewać każdą nutę tak, jakby mógł ją w tym wielkim chórze dosłyszeć. Czyniła to zupełnie podświadomie, najprawdopodobniej przez próżność kobiecą,

bowiem „nowy” był obiektem zainteresowania wielu jej koleżanek. Rano owego fatalnego dnia w Weimarze zaproszono ich na zwiedzanie miasta. Kasia ubrana była w czarną sukienkę w kolorowe pawie, kupioną w Japonii.

– Nie zapomnij się przebrać po południu. Nie przychodź w tej sukience do teatru, bo popsujesz nam koncert – powiedziała, ujrzawszy ją, pani Mira.

– Dlaczego? Bardzo ją lubię. Zresztą przecież i tak w czasie koncertu mamy na sobie kostiumy.

– To prawda, ale istnieje taki przesąd, że pawie w teatrze przynoszą nieszczęście. Lepiej nie prowokować losu. Zostaw tę sukienkę w hotelu. Chociaż trzeba przyznać, rzeczywiście jest ładna.

– Dobrze, pani dyrektor – obiecała Kasia.

Potem jednak wędrowni śladami Goethego dostarczyły jej tyłu wrażeń, że zapomniała o rozmowie z panią Mirą. Naturalnie nie przebrała się. Sukienkę w pawie zdjęła dopiero w garderobie, powiesiła na wieszaku, włożyła szpongi, tunicę, baletki, po czym udała się wraz z całym zespołem na rozgrzewkę taneczną.

Kiedy wychodziła z sali ćwiczeń, zderzyła się w drzwiach z „nowym” skrzypkiem. Skrępowana jego zachwyconym spojrzeniem udała, że go nie widzi, ale wykonała przed lustrem na korytarzu pamiętne *pas de chat*, *pas de chat*, *assemblée* i runęła jak długa na śliską posadzkę.

Upadła na rękę. Chciała się szybko podnieść, ale ostry ból w łokciu jej to utrudniał. Wszyscy, którzy zrazu jej niefortunny popis skwitowali śmiechem, ucichli zażenowani, ktoś pomógł jej wstać, ktoś powiedział: „ojej, ale masz dziwnie wykręconą rękę!”.

Zrobiło się zamieszanie. Kasia usiłowała całe zajście zbagatelizować, ale była zszokowana, nogi jej drżały i ból coraz

bardziej dawał się we znaki. Podróżujący zawsze z zespołem lekarz obejrzał szybko puchnącą rękę, która od łokcia zwisała pod nietypowym kątem, i stwierdził, że trzeba jechać do szpitala na chirurgię.

To, co nastąpiło potem, pamiętała jak przez mgłę. Prawdopodobnie za przyczyną tabletek, jakie połknęła na polecenie lekarza. Koledzy i koleżanki gdzieś zniknęli...

A, prawda! – pomyślała. – Przecież zaraz ma być koncert, beze mnie, bo ja jadę do szpitala!...

Prowadzono ją jak owcę do kolejnych pomieszczeń. Najpierw wizyta u chirurga z tłumaczką, potem prześwietlenie ręki, sala zabiegowa, narkoza... Ocknęła się w pokoju hotelowym późnym wieczorem, kiedy wszyscy wrócili już z koncertu. Naturalnie uwieńczonego sukcesem – jakże by inaczej? Entuzjastyczne relacje z przeżytych wrażeń przeplatały się z wyrazami współczucia dla niej.

Jednak wszystko to szybko pomieszało się z jej niespokojnym snem, a może też reakcją na proszki przeciwbólowe i oszołomieniem po narkozie.

Obudziła się w nocy, a właściwie ból ją obudził.

Kazano jej połknąć kolejną pigułkę i jakoś z przerwami we śnie przetrwała do rana. A rano dowiedziała się, że będzie zmuszona wrócić do kraju. Gips założono jej na sześć tygodni. Złamanie łokcia z przemieszczeniami okazało się na tyle skomplikowane, że pewne się stało, iż Kasi nie uda się wydobrzeć do końca zaplanowanej podróży.

Trzeba przyznać, że Pagart zachował się elegancko, wypłacając jej honorarium za całą trasę, która dopiero się zaczęła. Nawet za koncerty w Holandii. Dyrekcja zespołu była przygnębiona fatalnym wypadkiem Kasi, a szczodra wypłata miała być swoistą nagrodą pocieszenia.

Następnego dnia, kiedy jeszcze ciągle zmagala się z bólem, przysłano po nią samochód z ambasady polskiej w Berlinie Wschodnim. Były to dla Kasi trudne dni, chociaż została otoczona troską i na wszelkie możliwe sposoby wszyscy starali się osłodzić jej ciężkie chwile. Pracownicy ambasady współczuli, że nie mogła kontynuować występów za tak zwaną żelazną kurtyną. Ponieważ zakaz przekraczania słynnego muru berlińskiego nie dotyczył dyplomatów, postanowili, że zawiozą ją do Berlina Zachodniego na zakupy, jeśli zechce tam wydać zarobione pieniądze. Skończyło się na tym, że znękana bólem ofiara wypadku siedziała w samochodzie, a pracownicy ambasady wyręczali ją w zakupach. Berlin po obu stronach złowieszczonego muru widziała jak przez mgłę, a starań miłych gospodarzy nie była w stanie docenić. Ze wszystkich atrakcji, jakie dla niej przygotowano, najpożyteczniejsza okazała się wizyta u lekarza. Miała nadzieję, że przerwie jakimiś skutecznymi środkami jej męczarnię.

– Wciąż panią boli? – zapytał z niedowierzaniem.

– A nie powinno?

– Niech mi pani powie, jaki to jest ból. Ostry czy pobołowanie?

– Panie doktorze, ja nie jestem osobą, która nie potrafi znieść cierpienia, ale to jest naprawdę nie do wytrzymania. To już cztery dni.

– Złamanie nastąpiło cztery dni temu? Rzeczywiście ból powinien był już ustąpić... Chyba że coś jest nie tak...

– Naturalnie, że jest „nie tak”. Przecież miałam przemieszczenia, i to w trzech miejscach. Sam pan widzi na zdjęciu.

– Tak było, ale przed zabiegiem, zdjęcia po złożeniu ręki nie mamy. Najlepiej będzie, gdy zaraz po powrocie do Warszawy zgłosi się pani na kontrolę w klinice profesora Grucy.



Zatelefonuję do niego. Tam na pewno pani pomogą. Leci pani samolotem, mam nadzieję?

– Dostałam bilet kolejowy, jadę sleepingiem.

– Musi pani mieć środki przeciwbólowe, pociąg szarpie i trzęsie.

– Proszę się nie martwić, panie doktorze. – Przerwała mu żona ambasadora, która troskliwie zajmowała się Kasią podczas pobytu w Berlinie. – Proszę się nie martwić, nie damy zginąć naszej mazowszance – będę jej towarzyszyć w podróży, bo akurat mam coś do załatwienia w Warszawie.

– To dobrze – powiedział lekarz.

Zaczął objaśniać, jak i kiedy należy dawać pacjentce lekarstwa. Ona zaś popadała w coraz większe oszołomienie i zasnęła po zastrzyku, jaki jej na koniec wizyty zaaplikował. Ledwie mogła sobie przypomnieć wsiadanie do pociągu. Mimo że zanim to nastąpiło, starano się, by oprzytomniała na tyle, żeby podać numery telefoniczne swojej rodziny.

Tu zaczęły się kłopoty rodem z PRL-u. W swoim nowym mieszkaniu od dwóch lat czekała na przydział numeru, a z jej rodzicami w Zamościu można się było porozumieć jedynie przez tak zwaną rozmowę z przywołaniem na pocztę. Pracowników ambasady najwyraźniej to zirytowało, sami żyli już od jakiegoś czasu na innym poziomie, nie obowiązywały ich ograniczenia zza żelaznej kurtyny. Stanęło na tym, że wysłano depezę do jej rodziców w Zamościu i do Karolina, siedziby „Mazowsza”. Ustalono, że gdyby nikt nie zjawił się po nią na dworcu, ambasadorowa zabierze ją do siebie i przetrzyma do czasu, zanim nie trafi pod skrzydła swoich bliskich.

### ROZDZIAŁ TRZECI

— Dzień dobry, pani Rembiszowa, mam dla państwa depezę z ambasady NRD-owskiej w Berlinie.

— To pewnie od córki. Jest teraz w NRD. Ale depeza? Nie lubię depeż.

— Po co zaraz panikować? Najpierw niech pani przeczyta.

Podał jej poskładany misternie papierek. Zofia z trzepotem serca rozłożyła telegram i czytała ze zdziwieniem: „Prosimy o odebranie córki na Dworcu Głównym w Warszawie dnia 18 maja 1962 roku. Planowany przyjazd pociągu z Berlina 21:32”.

— Mój Boże! Co to ma znaczyć? Czemu wraca już jutro z Niemiec, skoro „Mazowsze” jedzie jeszcze do Holandii?! Mieli wrócić w połowie czerwca... Chyba nic jej się nie stało?

— Proszę o podpis, pani Rembiszowa, muszę iść dalej – upomniał ją listonosz.

— Już, już... Nie mam pojęcia, co się mogło stać. Nigdy dotąd, gdy wracała z występów, nie przysyłano nam wiadomości...

— A co, pani mazowszanka wraca? Dobrze. Powinna się pani cieszyć.

Oczywiście listonosz, podobnie jak większość mieszkańców miasta, wiedział o tym, że jej córka występuje w słynnym zespole. Nie raz przecież z wypiekami na twarzy przynosił kolorowe kartki od niej z dalekich zakątków świata, niedostępnych

dla szarego obywatela PRL-u. Nic dziwnego, że podróżujący wciąż po świecie członkowie „Mazowska” zostali przez rodaków niejako nobilitowani i towarzyszyło im szerokie zainteresowanie wszystkich, którzy nie tylko zachwycali się ich kunsztem, ale i tym, że ocierali się o wielki, dla reszty „zakazany” świat.

Zofii, zazwyczaj dumnej z przynależności córki do elity kulturalnej kraju, teraz zupełnie to nie obchodziło. Depesza rozczarowała ją i przestraszyła. Szczerze mówiąc, pomimo że zareagowała na nią nerwowo, spodziewała się, że będą w niej życzenia imieninowe. Święto jej patronki minęło dwa dni temu. Sama nie przywiązywała do niego wagi, ale jej dzieci, a zwłaszcza Kasia, ogromną! Kiedyś zbierała młodsze rodzeństwo i skoro świt zносили jej w tym dniu całe naręcza pachnącego bzu. Odkąd Kasia jest poza domem, zawsze przysyłała z tej okazji serdeczny list, upominek lub depeszę. A tym razem nie. Więc mimo że Zofia swoje imieniny bagatelizowała, wiedziała, że dla córki było to nie do pomyślenia. Dlatego czekała na jakiś znak od niej. Opóźnienie kładła na karb niedogodności w komunikacji, wynikających z przemieszczeń zespołu czy nawału pracy i teraz, otwierając depeszę, była pewna, że zawiera ona życzenia od córki. Widocznie mogła je przesłać przez ambasadę – pomyślała. – Tak samo było w Chinach. Pozdrowienia radiowe mazowszan dla rodzin nagrywano w ambasadzie.

Niemniej narastał w niej niepokój. Córka dawno stała się samodzielna i nie angażowała rodziców w swoje wyjazdy, przyjazdy i tym podobne sprawy. Po prostu kiedy miała wolne dni po powrocie z kolejnej podróży, odwiedzała ich. To prawda, że przed powrotem z tournée po krajach Azji pojechała ją powitać, ale to był dość długi, półroczny wyjazd, ponadto pomagała Piotrowi urządzić mieszkanie niespodziankę. Zresztą

wtedy na „Mazowsze” czekała cała Polska, gazety o tym pisały... a teraz ani mru-mru. Ani w radiu, ani w gazetach, nigdzie nie było wzmianki o ich niespodziewanie wcześniejszym powrocie. Musiało się coś stać. Może zachorowała? Ale gdyby tak było, chyba napisaliby o tym w telegramie?

Zofia nie wiedziała, co począć. Dzieci jeszcze w szkole, Teofil na uczelni, dopóki się nie zjawią, nie może podjąć żadnej decyzji. Zajęła się przygotowaniami do obiadu, ale szło jej to nieskładnie. Denerwowała się coraz bardziej. Wreszcie postanowiła pójść z depeszą do Teofila. Odczekała chwilę, żeby trafić na przerwę w wykładach. Znalazła go w rektoracie.

– Masz rację, Zosiu – powiedział. – Coś tu jest nie w porządku. Chyba musisz tam pojechać.

– A może państwo powinni zadzwonić do tej tam ambasady, żeby dowiedzieć się czegoś więcej – wtrąciła się sekretarka, która była świadkiem ich rozmowy.

– Racja, że też na to nie wpadłem.

– To co, mam iść na pocztę? – spytała Zofia.

– Spróbuję stąd zamówić rozmowę. Chyba pan rektor nie będzie miał nic przeciwko temu – stwierdziła sekretarka i połączyła się z pocztą.

Wyjaśniła krótko, że chodzi o nawiązanie kontaktu z jedną z mazowszanek, powiedziała o depeszy z ambasady i uzyskała obietnicę pomocy. Trochę to trwało, zanim odszukano numer ambasady polskiej w Berlinie. Teofil razem z kilkoma innymi osobami wszedł do gabinetu rektora, drzwi się za nimi zamknęły, a Zofia czekała w sekretariacie na połączenie.

Kilka razy podrywała się na dźwięk telefonu, ale były to fałszywe alarmy, dopiero po półgodzinie odezwał się ten oczekiwany. Sekretarka skinęła na nią i oddała jej słuchawkę.

– *Bitte* – usłyszała po niemiecku.